Nr 10. Kraków 15 maja 1868. **Rok III.**

KALINA wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca w dwóch arkuszach.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania.— Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody i kroje z gotowemi formami i opisami dołącza się każdego 1go. Nuty każdego 15go.

BIURO REDAKCYI i ADMINISTRACYI przy ul. Mikołajskiéj Nr. 451 na dole, otwarte codziennie wyjąwszy niedziele i święta od godziny 9téj do 12téj rano.

Począwszy od czerwca b. r. będzie **biuro** nasze przy **ulicy Jagiellońskiéj Nr. 133.** dom jen. Kruszewskiego — na dole, od frontu.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dla Prenumerujących **nuty**.

ARTUR GROTGER.

Ustęp z dziejów sztuki polskiéj.

(Ciąg dalszy.)

*
* *

Był to czas wielki, jedyna w naszych dziejach chwila, czas niesłychanéj ducha potęgi, któréj podobną odnajdziemy tylko w katakumbowych wiekach chrześciaństwa.

Od Warszawy, jakby łaska niebieska, powiały po wszystkich ziemiach polskich: wiara i wytrwanie — i cały naród w ofiarnéj skrusze przyoblekł żałobę. Przebrała się miarka goryczy i prześladowań — a gdy ręce, siły fizyczne spętane były w okowach niemocy; więc żywotność narodu musiała się objawić rozpłomienieniem ducha, nieśmiertelność nadziei politycznych musiała się zamanifestować fanatyzmem patriotycznym, szukać ucieczki i pociechy tam, gdzie jedynie jeszcze żandarm nie był prawem, tj. w świątyniach ducha, w przybytkach religii.

Ta egzaltacja religijnonarodowa, nie miała jednak wcale cechy konfesyjnéj, wyznaniowéj — owszém, jakkolwiek byli tacy, którzy radziby byli uśpić ją w objęciach ascetycznéj dewocyi — to znowu inni — zamorskie, wynarodowione świętoszki — gorszyli się przymierzem Ojczyzny z Religią — zapominając, że i Chrystus płakał, widząc w duchu upadek swojéj ojczyzny Jerozolimy.

I był ten ruch duchowy zarazem wielostronną, dojrzałą polityczną pracą. Leży to bowiem w naturze ludzkiéj, że pod wrażeniem wielkich a wspólnych uczuć czy to nieszczęścia, czy bojaźni, czy radości, mięknie i łagodnieje — braterstwo staje się wtedy potrzebą, nieprzyjaciele szukają się, aby sobie przebaczyć i uścisnąć się nawzajem. Tak było wówczas w Polsce i skorzystał z tego polityczny instynkt narodu. Nagle popękały lody społecznych zawikłań i wyznaniowych nienawiści — błagalne hymny płynęły z piersi zarówno po kościołach jak i synagogach — polała się na bruku krew szlachty i chłopów i mieszczan i żydów, bo wszyscy trzymali się za ręce i upadając, kolejno sobie godła narodowe oddawali. Krew ta zapieczętowała ostatecznie wewnętrzną zgodę, stało się zadość sprawiedliwości obywatelskiéj, o miliony piersi ludzkich rozszerzone zostały granice ojczyzny — ogłoszone zostały i uświęcone hasła wolności i równości — krew na bruku warszawskim wypisała program przyszłego powstania. — Trzeba rozumieć całe znaczenie i charakter tych wypadków — chcąc ocenić obrazy Grotgera.

Prąd ówczesny jeżeli ogarniał umysły w kraju, z tém większą grozą oddziaływał na oddalonych. Dla Grotgera weszło słońce i otwarła się dla skrzydeł jego niebieska droga. Poczuł w sobie moc i powołanie, żeby talentem swoim całą epokę unieśmiertelnić i zaledwo powstał z długiéj choroby, która go wprowadziła w najkrytyczniejsze finansowe kłopoty, stworzył szereg rysunków, w których już stanowczo charakter jego artystycznéj działalności się objawił. Rysunki te pod nazwą „*Warszawa*“ — część I. 1861 r. — nabyte zostały przez Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego za 700 zlr. w. a., a rozpowszechnione przez fotografie.

(Część druga jest dotąd w kraju nieznaną — zakupiono ja na wystawie w Londynie.)

Jest to jedna epopeja z siedmiu rapsodów, w których wszystkie znamiona czasu objęte są w idealne ramy, aby na wieki dawały świadectwo prawdzie: Więc najpierw w kościele „*Podczas mszy*“ i „*Podczas nieszporów*“ modlą się tłumy i śpiewają zmartwychwstańcze pieśni. Z kościoła wyszły na „*Procesją*“, i widzimy tam chłopa niosącego chorągiew, a pod ręce prowadzą go kapotowy mieszczanin i kontuszowy szlachcic. Ta sama uroczystość modlitwy odbywa się „*W synagodze*“ — natchnione oblicza żydów wzywają na pomoc Pana Sionu biblijném wołaniem. Ale przeciw temu buntowi ducha wystawiła przemoc uzbrojone trzody i

działa — bo oto *„Na placu Zygmunta“* pada, powalony od kuli młodzieniec, jakieś dziecię Starego-Miasta; ból nie może wykrzywić uśmiechu twarzy, ofiarna dusza ostatniém spojrzeniem leci w niebo. I pozostały *„Wdowy“* z jeszcze młodszą osieroconą dziatwą; na napisach grobowych, na śladach krwi i kul będą one uczyć ją zgłosek życia. I pokaże nam to artysta na jednym z przytoczonych obrazów. Ale wróg nie pozostawi, nie oszczędzi ostatniego zakąta — nastąpiło *„Zamknięcie klasztorów i kościołów“*. Jeden zakonnik młodszy zbolały załamał ręce — drugi pełen odwagi, obraca klucz w głównéj bramie — bo on wie, że uczucia i myśli zamknąć nie można, że dla ducha nie ma zapory, że w katakumbach piersi ludzkich może on spoczywać do czasu, a kiedy trzeba, to wyleci jak biały orzeł z ognistym mieczem w szponach! To „zamknięcie“ jest ostatnim obrazem w tym szeregu, jak było ostatnią chwilą biernego cierpienia narodu.

W promieniach panującéj na tych obrazach pogodnéj aureoli męczeńskiéj, nie ma tam nigdzie miejsca na wizerunek wroga; i nigdzie na żadnym obrazie nie pokazał nam artysta rozbestwionych siepaczy — był to przedmiot za podły dla jego ręki i słusznie osądził, że tego nie potrzeba, bo po owocach ich poznacie ich. To pominięcie jest najdotkliwszym policzkiem, shańbieniem i pogardą — jak się wyraziła jedna Rosjanka.

* * *

Z koniecznéj kolei rzeczy po wypadkach warszawskich, po wzmożeniu się ducha, nastąpiło czynne wystąpienie, organizacja tajemna i zbrojne powstanie. Było ono potężniejsze od wszystkich poprzednich; powszechne, bo ogarnęło wszystkie warstwy narodu i wszystkie ziemie polskie; nowe, bo inicjatywa i stér wyszły z miast; potwierdziło i wzmogło zaufanie w potęgę własnych sił; załatwiło ostatecznie wszystkie socjalne trudności — i jako takie jest drugim aktem insurrekcyi Kościuszkowskiéj.

Trzeci akt może być, kiedy nie będzie potrzeba dopiero skupiać rozpierzchłe jeszcze żywioły i częściowo wyprowadzać, jak to było udziałem lat 1863 i 4; ale kiedy jednolitość przejdzie w krew i kości. Wtedy będzie i jednolitość woli i jéj siła w akcyi, jednolitość kierunku, i którykolwiek obóz, czy stronnictwo pochwyci stér — to w chwili działania wszystko inne musi się oddać i słuchać i służyć publicznéj sprawie. Mimowolnie do rozpraw literackich lub artystycznych u nas mieszają się podobne niby uboczne poglądy, gdyż są one koniecznie potrzebne do uwydatnienia przedmiotu. Sztuka nie spoczywa u nas na wawrzynach, jak to już na wstępie wspomniałem, ale zaprzęga się do życia. Artysta u nas, to tylko jedna odmiana obywatelskiéj pracy.

Artur gotów był zaciągnąć się natychmiast do powstania — ale nie pozwolono mu na to. Stosunków rodzinnych nie mógł zaniedbać — nadto jako żołnierz mógł być tylko jednostką, gdy tymczasem dano mu było, aby jako artysta był potęgą. Przymuszony poskromić młodzieńczą krewkość, pozostał w Wiedniu, i lubo sam był w najprzykrzejszém już położeniu, starał się jednak osobiście służyć sprawie ułatwiając przejazd i kwaterowanie emigrantów, zakupna broni, w ogóle oddając wszelką możebną pomoc bawiącemu w Wiedniu komisarzowi Rządu Narodowego. Pod wrażeniami niepomyślnego kierunku walki roiły się bezustannie w duszy jego nowe prace, mogące być wyrazem czasu. I zdarzyło się pewnego dnia, że rano leżąc jeszcze w łóżku, odebrał wiadomość, że brat jego, służący w powstaniu, dostał się do niewoli i popędzono go w Sybir. Porwał się z łóżka, wyciągnął w górę pięści i krzyknął: „biada im!“

W téj chwili dojrzały u niego pomysły nowych utworów i nie wiele przytoczyćby można przykładów, że ktoś tak wiernie i na taki rozmiar przyrzeczenia i groźby dokonał.

Bolejąca miłość ojczyzny i nieubłagana nienawiść wroga objęta w owym wykrzykniku „biada im“ — oto natchnienie, które pozwoliło mu stworzyć dalsze dwa szeregi rysunków *„Polska“* i *„Litwa“*. — Na zamierzony trzeci *„Ruś“* — śmierć nie pozwoliła.

„Polska“ obejmująca ośm obrazów, ukończoną została równocześnie z upadającém powstaniem. Kupił ją Węgier! hr. Palffy za 3000 złr. w. a. — prawo fotografowania nabyli Wawra i Miethke za 1000 złr. w. a. Fotografie te rozeszły się niebawem po całym świecie. Było to pismo czytelne dla każdego prostaczka, tak bowiem jasny i tłomaczący się sam przez się jest tam każdy obraz. Kraj zobaczył tu swoje własne dzieje, ujęte w ramy, a za granicą, gdzie nie znają stosunków naszych, gdzie urzędowe tylko i zwykle pofałszowane dochodzą wiadomości, nigdy jeszcze ani żaden fakt, ani żaden mowca, ani żadna książka lub dziennik nie przemówił tak silnie i tak szeroko w obronie i na chlubę naszą; nikt jeszcze obce narody tyle Polski nie nauczył, jak te obrazy Grotgera:

Na tytułowéj winiecie niewolnicy — atleci zapatrzeni we wschodzące słońce, rozrywają okowy alegorycznéj postaci Ojczyzny — oto zapowiedź przyszłości i treść poematu. Zaczyna go owa rekrutacja, owo tajemne *„Porwanie młodzieży“*, doradzone przez Wielopolskiego. Noc — w pokoiku ubranym w pułki z książkami, krucyfiks na ścianie i broń, widzimy nieład, opróżnione łóżko. Porwano syna przed chwilą; rodzinę przebudził gwałtowny napad; jedna kobieta w nocném ubraniu, z rozpuszczonemi włosami biegnie ku otwartym drzwiom; druga przerażona ledwie trzyma świecę. One same zostały, bo wszyscy, co jeszcze ocalели, już wyszli

do lasów. Widzimy ich w wiejskiéj kuźni w burkach, w krakuskach, z kokardami, jak kto mógł; czekają na broń, bo właśnie odbywa się *„Kucie kos“*.

I wypadła im stacja w dworku, stoją na dziedzińcu wraz z gospodarstwem, którzy ich gościnnie przyjęli, pani domu wyszła do nich, trzymając dziecię na rękach. Ale oto poza opłotkiem zjawia się przestraszony żyd, zapewne karczmarz; widać po obliczach, że przyniósł on niespodziewaną wiadomość że Moskale już blizko, że niechybnie na dwór napadną. Co żyje zbiegło się w jednym pokoju, starzy, kobiety, dzieci w śmiertelnym strachu, a powstańcy podparli drzwi, bo już odbywa się *„Napad“*, a oni żywi nie ustąpią. Więc *„Po napadzie“* zostały ruiny, trupy i pożar. Jeden trup na łóżku, jeszcze w chwili skonania wyciągnął w górę pięść zemsty — na poprzek przewieszony trup kobiety, zabite dziecko na podłodze i tylko stary sługa stoi osłupiały i płaczący. Ale i na polu bitwy mimo niesłychanéj odwagi i wytrwałości i wielu szczęśliwych batalij — w rezultacie pozostały także trupy: nawet zwycięztwa jeszcze nas nie ocaliły. Oto w sosnowym lesie odbywa się *„Grzebanie trupów“* — kobietom pozostało być siostrami milosierdzia — zbolałe klęczą i modlić się już nie mogą, a lud wiejski kopie doły. Lud tutaj tę jedną posługę dopiero oddaje: lecz gdzieindziéj w *„Litwie“*, gdzie powstanie było najpowszechniéj narodowém, pojawi się on inaczéj i w innem otoczeniu. Tymczasem w Polsce pozostał tylko *„Płacz i żałoba“*. Młody inwalid powrócił z listem, a list to o śmierci, bo całe grono kobiet płacze, każda zakryta, nie widzimy ani jednéj twarzy, i sami płacząc, odwracamy się. Położył nam artysta kamień na sercu, nie ukazał promienia nadziei i ulgi, niczém nie pocieszył pod koniec poematu. Ale bo téż ten poemat dopiero jest częścią całości. (C. d. n.)

SPOWIEDŹ.

> Bodaj to umrzeć u wstępu męczeństwa!
> — Lecz nie umiera się, gdy śmierć zbawieniem. —
> W dniu szczęścia skonasz — zginiesz w dniu zwycięztwa,
> — Niezatracalnyś, gdy żyjesz cierpieniem!

Ha! — i ja żyłem — i znam co cierpienie! —
— Znam przelotnych rozkoszy uroki zwodnicze —
Nektar szczęścia mi nieraz spalił podniebienie,
I nieraz ją schłodziły rozpaczy gorycze! —
— O! — gdyby mi dziś dano naturę miękczaków! —
Gdybym mógł, wychyliwszy na świat mą istotę,
Znów ją zwrócić do wnętrza skorupianych szlaków,
I wgrzebać się napowrót w nicości ciemnotę. —
— Gdybym mógł dziś zapomnieć, żem widział świat, słońce,
Żem pytał kwiaty, drzewa, czemu kwitną — rosną —
Żem miał duszę — miał serce miłością płonące,
Dźwięczne jak chór słowików, gdy gaj szumi wiosną.
Gdybym z duszy mógł wydrzeć wszystkie życia ślady,
Wraz z sercem, w popiół zmienić pamiątki młodości,
Wszystko zepchnąć aż do dna topielisk zagłady,
I cały się rozpłynąć w błotnistéj nicości! —

* * *

Zapomnieć!... tak — zapomnieć! — W próżni oceanie
Utopić myśl i pamięć rozwiać gdzieś w bezdeni,
Tak jak burza rozwiewa szare mgły jesieni,
Kiedy wichry piekielne rozpoczną pląsanie
Przy odgłosie piorunów i wyciu szatanów.
— Rozwiać się — lecz nie spłynąć nawet w kroplach rosy
Srebrzącéj zżółkłą trawą jesiennych dywanów —
By się nie wssać napowrót w mchy, kwiaty lub wrzosy
I nie odżyć nazajutrz z przeszłości odzewem.
Zniknąć — i zaprzepaścić wspomnienia dziecinne,
Kiedy dusza pieszczona ust matczynych śpiewem
Bogu — Aniołom — hymny nuciła dziękczynne
Za to tylko — że nędzną strącił tu na ziemię.
Zapomnieć wszystkie młode marzenia ułudne —
Kiedy pierś nieznająca co to życia brzemię,
Coraz nowe rodziła sny majowe — cudne —
Sny — kwitnące rozkoszą ustek koralowych
Ledwie śmiących wyszeptać przysięgę miłosną —
Strojne w dziewicze szaty kielichów lilijowych,
I jak one, z umarłą znikające wiosną!

* * *

Zapomnieć!... puste słowo — bez echa i treści;
Kłamstwo odziane w formę ponętną, zwodniczą —
Kłamstwo — najułudniejsze z bajecznych powieści,
Jakiemi dzieci bawią gdy nie chcąc spać — krzyczą.
Straciłeś ojca — brata — siostrę — przyjaciela —
Wnet się znajdą usłużni, wymowni natręci,
Co ci szepną: — poczekaj! — czas wszystko zaściela,
Szczęście — troski — i rozpacz — pyłem niepamięci.
Kochanka cię zdradziła? — więc porzuć niestałą,
Uciekaj w inne kraje — między innych ludzi —
Zmiana miéjsca — zmęczenie — twą pierś obolałą
Zagoją — boleść uśnie... i nic jéj nie zbudzi!
— Szaleni! — Im się zdaje: że dusza, to księga —
Z któréj można bezkarnie powydzierać karty!
Że na ziemi — że w Niebie jest jaka potęga
Zdolna z duszy, jak z karty atramentem zżartéj,
Zetrzeć lub obmyć ślady rylcem życia rznięte!
— Dusza — to bryła wosku; — lecz jéj rzeźbiarz — życie,
Gdy w niéj kształty wyciśnie — przetrwają nietknięte —
Silniéj — niżli wykute w finlandzkim granicie!

* * *

Kiedyś — dawniéj — ja także — gdy pierwsze zawody
Kaleczyły mi duszę — ja także myślałem:
Że gdy po burzy zalśni znów urok pogody,
To *dziś* — zasłoni *wczoraj* zapomnienia wałem,
Że rany się pod szczęścia zasklepią nektarem,
Z blizn zbolałych najmniejszych śladów już nie będzie,
A dusza zachwycona nowych marzeń czarem
Otrząśnie się z zawodów jak z wody łabędzie.
— Jam tak myślał — bom czytał u starych pisarzy:
Że gdzieś w stronie odległéj i w czasach już dawnych,
Wśród puszczy, co jak węgiel od słońca się żarzy,
Śród bezdennych przepaści i urwisk beztrawnych,
Mętne wody toczyła rzeka drobna — cicha —
W któréj ludzie znużeni szczęściem lub rozpaczą —
Jak drzewo co od skwaru lub mrozu usycha —
A nie zdolni się obmyć w łzach, któremi płaczą —
Biegli szukać swobody — znaleść zapomnienie!
A który z nich potrafił dotrzeć do jéj zdroju,
I tą wodą ugasić duszy swéj pragnienie —
Wnet wstawał odrodzony do życia i znoju —
Silny — mężny — niezłomny — jakby w jego ciało
Wstąpił duch nowy — czysty, życiem nie dotknięty —
A stary z wspomnieniami, z przeszłością swą całą
Został w zdroju, by zwiększyć wód zbrudzonych męty.

* * *

A ja tym starym baśniom wierzyłem — szalony! —
I gdy późniéj mi serce stoczyły cierpienia,
Gdy mi łez już nie stało w piersi rozżalonéj
By niemi zmyć jéj rany — przytłumić westchnienia;
Gdy młodą gwiazdę szczęścia niknącą przedemną
Osłoniły na zawsze przeszłości méj cienie —
I duszą mą zawładło jedno, straszne ciemno —
A sercu pozostało czcze tylko wspomnienie; —
Wtedy myśl uciekając w wieki już minione
Odsłaniała Letey źródła przed mém okiem;
I ja z nią odbywałem wycieczki szalone
Po urwiskach huczących bystrych wód potokiem,
Stopą brudziłem śnieżne stromych Alp wyżyny,
Krwawemi znacząc ślady przejście po marmurach —
Dusiłem się w uścisku wędrownéj lawiny
Co z łoskotem się toczy po przelękłych górach;
Lub nagle przerzucony w kraje równikowe,
Wśród skwarnych puszcz Libijskich, nad Nilu wodami,
W krajach dziewiczych lasów, co dziś jeszcze nowe
Szumią śpiewem tym samym co przed stu wiekami
Wszędzie — gdzie ludzką stopą pustkowia nie tknięte
Zdały mi się ukrywać Letey początki —
Wszędzie — jak wieczny tułacz — jak widmo wyklęte
Błądziłem, by utopić duszy méj pamiątki.
I nieraz — gdy mi piersi gorzały pragnieniem,
Kiedy w lodowe skały wpijając pazury
Upadałem pod znojów wędrownych brzemieniem —
Gdy nad głową gromami groziły mi chmury,
A pod stopą, bezdenią, wód wzburzone wały —
Gdym co chwila umierał od znojów i bólu
A serce — mózg — i piersi z strachu kamieniały —
Krzepiłem się nadzieją — że tu — ot w tém polu
Świętych zdrojów Letey znajdę może ślady!
— Naprożno — gdy zwątpienie — rozpacz i zgryzoty
Na mą duszę jak brudne zleciały owady —
Obraz przeszłych rozkoszy — marzeń obraz złoty
Coraz wyraźniéj jaśniał na ich tle ponurém —
I tak straszne zadawał duszy méj katusze —
Tak boleśnie ją szarpał wspomnienia pazurem
Żem nieraz przeklął przeszłość — mą pamięć — i duszę!

* * *

Więc dziś przeciw pamięci nie ma już sposobu? —
Wołałem raz w rozpaczy załamując dłonie.
— Jest — szepnął mi ktoś w ucho, a głos był jak z grobu,
I tchnienie jego przykre jak cmentarne wonie.
— Jest — powtórzył — lecz płonną nie łudź się nadzieją,
Byś napotkał Letey zagubione ślady!
Jéj wody pod piaszczystą wyschły już zawieją,
I wsiąkły w łono ziemi... lecz nie wsiąkły jady!
Na oschłém łożu rzeki wzrosły nowe kwiaty,
Co z chciwością chłonęły jéj zmącone wody —
A każdy z takich kwiatów w liść i woń bogaty,
Jak rzeka niepamięci jest źródłem swobody.
Weź pierwszą lepszą księgę o roślinnym świecie
I otwórz ją na oślep — na każdéj stronnicy
Znajdziesz opis doświadczeń, jakie podróżnicy
Robili na jéj liściach, łodydze i kwiecie.
Oni to — gdy poznali ich cnoty cudowne
I pragnąc się odkryciem z bracią swą podzielić —
Cały świat zbogacili w nasiona kosztowne,
W których pamięć i duszę można zatopielić.
Ty sam pamiętasz może matki twéj rozmowę,
Gdy w ogrodzie trzymając dłoń swego chłopczyny
I wskazując łodygę strojną w kwiaty płowe,
Mówiła: — Synu! — to jest kwiat dygitaliny! —

* * *

— Ha! — rozumiem! — krzyknąłem. — Więc nie w zmianie wrażeń —
Nie w zmianie miejsc i ludzi — krajów i kochanek,
Nie w zmęczeniach i znoju od gorących marzeń,
Nie w śmiechach towarzyszy — dźwięku pełnych szklanek
Szukać leków na rany zbyt żywéj pamięci!
Po cóż samochcąc zwiększać rząd tęsknych przebudzeń?
Wszak — gdy duszę stęsknioną nowy urok nęci,
Wnet po za nim powstaje cały szereg znudzeń!

— Zaprawdę — komu życie odarte już z czarów —
Komu dźwiękiem łańcuchów tętnią jego trudy —
Komu piersi płonące od młodzieńczych żarów
Kamienieją w lodowych uściśnieniach nudy —
Ten niech w próżnych namysłach chwili nie zmarnuje!
Raz na zawsze niech strzaska skorupę glinianą,
W któréj zakute serce tęsknotą się truje.
A gdy nad wzrokiem duszy masą ołowianą
Zawisną nieprzejrzane snu wiecznego chmury,
Gdy pierś stygnąca zmrozi ostatnie westchnienia
I mózg spłynie kroplami na zimne marmury...
Szczęśliwy! — on już wstąpił w kraje zapomnienia! —
— I ruchem konwulsyjnym zdarłem broń ze ściany...
Jakżem czuł się szczęśliwy, gdy zamki zagrały
Pod naciskiem méj dłoni pośpiechem pijanéj! —
Jak szatańskiém szyderstwem śmiałem się zuchwały
Gdy uczułem żelaza zimno na méj skroni!...
— Wtém wzrok mój upadł w okno... broń upadła z dłoni...

* * *

Złota zwiastunko słońca! — poranna jutrzenko!
Czemuż twoich promieni złotowłose sploty
W téj chwili się przez moje przedarły okienko
I rozwiały chwilowy szczęścia sen mój złoty? —
— Jam już tak był szczęśliwy — już byłem umarły!
Pamięci mojéj wrota za mną się zawarły,
I wszystkie mych boleści ofiarne ołtarze,
Wszystkie mogiły szczęścia — rozkoszy cmentarze —
Wszystko zdało się niknąć poza mną w bezdeni —
W uściskach czarnéj nocy — w tłumie czarnych cieni! —
I sam tylko zostałem bez myśli — bez czucia —
Niby trup wydobyty z całunów okucia!
Czemuż w téj chwili wzrok mój twoje spotkał oko? —
Duch mój twoich promieni jasnością olśniony
Uleciał gdzieś za niemi — w przestrzenie — wysoko —
W jednéj chwili oblecial wszystkie świata strony,
Wszystkie gromady planet, księżyce i gwiazdy
I gdy za chwilę wrócił z téj podniebnéj jazdy
Wciąż powtarzał w twém oku wyryte pytanie:
— *Czy jak zabijesz ciało — pamięć nie zostanie?*
Sądzisz-li że i duszę rozproszysz w kurzawę?
Że twą pamięć zagrzebiesz w nadgrobną murawę —
I nic jéj nie rozkuje z cmentarnych łańcuchów?
Spojrzyj w te liczne światy — i spytaj czy one
Nie są raczéj zagrobném mieszkaniem dla duchów
Co z więzów doczesnego życia rozwięzione
Poniosły tam ze sobą wszystkie czcze wspomnienia
Rozkoszy i rozpaczy — szczęścia i cierpienia? —

* * *

— Panie, coś jest wszechmocnym! — Ty, co rządzisz słońcem!
Ty, coś Niebiosa w lśniące z gwiazd utkał wiązanie,
Ty, co prawd wszystkich jesteś początkiem i końcem,
Coś rozdarł toń chaosu i z niéj wyprowadził
Ziemię ozdobną w kwiaty — coś ją uposażył
W nieprzebrane bogactwa i wśród nich osadził
Ludzi, których Twojego ducha skrąś obdarzył —
Ty, coś zaludnił puszcze — szumieć kazał lasom —
Strumienie zmusił tonąć w oceanów łonie —
Coś dał instynkt zwierzętom — kwiatom rozdał wonie,
Przestworzom dał bezbrzeżność — nieskończoność czasom:
Panie! — ja dziś przed Twoją klękam Wszechpotęgą —
Tobie jednemu sprzedam duszę i sumienie! —
Lecz niech mnie Twéj potęgi dowody dosięgną —
Daj mi — daj jedno tylko — jedno... zapomnienie!

S. Równia.

SYRENA.

(POWIEŚĆ SPÓŁCZESNA.)

(Ciąg dalszy.)

VII.

Drogi do wolności.

Ukończyło się wreszcie śledztwo w procesie Irreoltemy i wypadło mimo usiłowań Nuryna na niekorzyść obwinionéj. Zaprzysiężone świadectwo służącego, sprawozdania lekarskie, znaczna ilość trucizny, znaleziona w szkatułce Irreoltemy — wszystko to potępiało ją. Nawet niewytłomaczone zniknięcie doktora R. nie zdołało jéj nic pomódz; towarzystwo bowiem lekarskie orzekło, że w receptach zapisywanych przez tegoż doktora była morfina udzielana w dozach wcale nieszkodliwych, że otrucie nastąpiło wskutek dosypywania znacznéj ilości morfiny do każdego proszka. Z tych świadectw i zeznań nie można było wątpić, jaki będzie wyrok Sądu. Nuryn był w rozpaczy. Przy ostatniém przesłuchaniu obwinionéj był zmieniony i blady, nie taił wcale przed nią istotnego stanu rzeczy, dodawał jéj odwagi, zalecał przytomność.

— Jeżeli wszystko nas zawiedzie — mówił do niéj — mam jeszcze jeden środek ocalenia; ale do tego tylko straszna ostateczność mnie zmusi.

Irreoltema słuchała jego rad i uwag z spokojną twarzą— czy, że wierzyła jego obietnicom, czy że tak zobojętniała na los, jaki ją czeka. Nuryna dziwił nieco ten spokój; — dawniéj Irreoltema bywała wzruszoną, rozrzewnioną — prosiła, błagała, lamentowała, w oczach jéj widział dla siebie jakąś obietnicę szczęścia, czułość — czułe uściski przeplatały zeznania obwinionéj. Dziś była zupełnie inną — oczy miała spokojne, usta skąpe w słowa, i ani razu nie zbliżyła się ku niemu. Kiedy już miała odchodzić, Nuryn zbliżył się ku niéj, wziął ją za rękę i rzekł drżącym głosem:

— Co to ma znaczyć? Odchodzisz pani bez słowa pociechy dla mnie.

Rozśmiała się cierpko, boleśnie.

— Pan chcesz pociechy odemnie? To zabawne.

— Chcę nadziei szczęścia.

— Od nieszczęśliwéj.

— Chciéj mnie zrozumieć pani. Ja w oczach twoich pragnąłbym wyczytać to, co by mi dodało odwagi do zrobienia strasznego kroku, jakim myślę cię ocalić — a tymczasem twoje oczy dziś takie obojętne.

— Łudzisz mnie pan tak długo już tém ocaleniem, że przestałam w nie wierzyć. Niech się co chce stanie.

Skinęła obojętnie ręką i wyszła. Młody dozorca więzień czekał na nią w sieni, i milcząc odprowadził ją do celi. Kiedy miał zamykać drzwi, wrzucił do celi mały świstek papieru. Irreoltema podniosła z pośpiechem kartkę z podłogi i zbliżyła się z nią do okna. Na kartce stało napisane:

„Wszystko przygotowane, bądź gotową o północy“.

Odetchnęła — uśmiech radości przebiegł po jéj twarzy jak promień słoneczny po marmurowym posągu. Z tych kilku słów wiał oddech wolności, te słowa otwierały drzwi jéj przyszłości, jéj nadziejom i planom. Siadła z założonemi rękami na tapczanie i przędła daléj te myśli, a godziny niepostrzeżenie przebiegały. Wśród téj procesyi myśli nigdzie nie widać było bladéj twarzy dozorcy więzień, którego poświęceniem miała odzyskać wolność. Zapomniała już o nim jak o zużytéj sukni, jak o przekréślonym rachunku.

Na korytarzach zegar bić począł — Irreoltema się zerwała i z uwagą liczyć poczęła uderzenia — była jedenasta. Jeszcze godzina przedzielała ją od stanowczéj chwili. — Ona taka zwykle spokojna i zimna — w téj chwili poczęła doznawać dziwnego wzruszenia i niepokoju, oczekiwanie i niepewność przedłużały tę godzinę w długą męczarnią. Wreszcie usłyszała kroki na korytarzach — zadrżała — zerwała się i pobiegła ku drzwiom. Klucz pocichu zazgrzytał w zamku i do celi wsunął się wystraszony, blady dozorca.

— Czy już? spytała Irreoltema chwyciwszy go gwałtownie za rękę.

— Jeszcze chwilę — aż warty zmienią. Żołnierze, którzy teraz przyjdą, są przekupieni. Za zapłatę zdecydowali się na pałki.

— Gdy będę wolną, nagrodzę im to sowicie i tobie, tobie najwięcéj.

Dozorca ucałował podaną sobie rękę.

— A schronienie czy przygotowałeś dla mnie?

— Jest pani, i kartka wyjazdu.

Milczeli chwilę — Irreoltema nie wiedziała co powiedzieć — czekanie niecierpliwiło ją, radaby była jak najprędzéj pozbyć się tych murów więziennych i tego dozorcy, względem którego zaciągała dług wdzięczności — a ona nie umiała, nie lubiła być wdzięczną.

Odbiła wreszcie dwunasta. Dozorca otulił Irreoltemę w płaszcz żołnierski i wyprowadził na korytarz. — Minęli dwie straże i zeszli na dół. Tu dozorca wziął ją za rękę i ciemnemi zaułkami prowadził kierując się ku bramie.

— Czy daleko jeszcze? spytała Irreoltema drżącym, stłumionym głosem.

— Jeszcze miniemy dwie warty, a potem już brama główna — cicho — drugi dozorca idzie — skryjmy się w tę framugę.

Dozorca drugiego korytarza szedł powoli z latarnią w ręku oglądając zamki u drzwi.

— Jeżeli pójdzie w tę stronę — zginęliśmy — szepnął dozorca.

Irreoltema przytuliła się do ściany i z niepokojem śledziła ruchy człowieka chodzącego z latarnią — ściśnieniem ręki telegrafowała dozorcy swoją obawę i niepokój. Latarnia kierowała się w ich stronę — dozorca zcierpnął.

— Co począć? spytała go strwożona.

— Zaczekaj tu pani, ja wyjdę ku niemu.

Wyszedł z za framugi, zbliżył się do swego kolegi — rozpoczął z nim rozmowę, wśród któréj starał się zatrzymywać go i zwrócić w inną stronę. Po wielu długich manewrach udało mu się to wreszcie, że odprowadził swego kolegę w inne ramię korytarza, a sam pośpiesznie wrócił do Irreoltemy.

— Chodźmy pani — rzekł — każda chwila droga.

Wziął ją za rękę i prowadził daléj. Wśród drogi odezwał się do niéj:

— Teraz nie mam po co wracać tutaj — dozorca widział mnie chodzącego po nocy — ucieczkę więc pani tylko mnie przypiszą. Pani weźmiesz mnie z sobą — prawda?

— Dobrze, dobrze — byle tylko raz wyjść ztąd.

— Ja będę pani służył wiernie jak pies, bylebyś nie odmówiła schronienia mojéj staréj matce. Pani jesteś tak dobrą, pani to zrobisz — prawda?

— Zrobię, zrobię — mówiła Irreoltema — ale o tém późniéj mówić będziemy. Teraz nie czas na to.

Dozorca umilkł i szedł daléj. Minęli znowu jednę wartę. Wtém ów dozorca z latarką w ręku znowu ukazał się na głównym korytarzu. Wypadało więc koniecznie cofnąć się, ukryć się potem w bocznym korytarzu i ustępować się przed światłem latarni. — Tak zrobili. Idący z Irreoltemą dozorca pociągnął ją pospiesznie za sobą w ciemną uliczkę. Ruch ten zbyt gwałtowny omało ich nie zdradził. Dozorca bowiem z latarnią usłyszał to i zawołał:

— Kto tam?

— Ja.

— Ty Onufry — nie spisz jeszcze?

— Idę spać właśnie.

— Dobréj nocy — zawołał z dala.

Onufry odprowadził Irreoltemę w boczne uliczki

korytarzy, chodził z nią czas jakiś czekając, aż zginie światło w głównym korytarzu. Jak na złość światło nie ustępowało — Onufry wysunął się na zwiady i zobaczył, że kolega jego zapuścił się w gawędkę z żołnierzem.

Poszedł wreszcie — Onufry odprowadził go oczami, dopoki nie wszedł do swego mieszkania. Wtedy wrócił po skostniałą od zimna i obawy Irreoltemę i poprowadził ją do bramy. Przekupiony żołnierz umyślnie usunął się w inną stronę, by zostawić dozorcy czas do otwarcia bramy. Dozorca włożył klucz do bramy — Irreoltema odetchnęła — za tym kawałkiem drzewa czekała ją wolność. Dozorca zakręcił klucz w bramie i otworzył. Jakież było ich przerażenie, gdy w otwartéj bramie ujrzeli wchodzących żołnierzy i oficera zaciągającego wartę. Zegar na kurytarzach uderzył właśnie pierwszą.

— Kto idzie? zawołał oficer.

— Zginęliśmy — szepnął, z przerażeniem dozorca.

Oficer zbliżył się do Irreoltemy kryjącéj twarz swoją w fałdach płaszcza, i spojrzał jéj w oczy.

— To aresztantka — a więc ucieczka. Wiązać ich.

Dozorca nie bronił się żołnierzom — stał nieruchomy, osłupiały. Dopiero kiedy go odprowadzić miano — zakrył twarz rękami i zawołał z płaczem:

— Biedna matka moja!

Irreoltemę odprowadzono do jéj celi i zdwojono środki ostrożności.

Ta nieudana ucieczka pogorszyła jeszcze więcéj sprawę obwinionéj. W parę dni potém zawołano ją do wyroku. Droga do sali sądowéj prowadziła przez kancelarją Nuryna, który z niecierpliwością czekał na obwinioną. Weszła zmieniona i znękana. Nuryn zbliżył się ku niéj i szepnął:

— Odwaga i wytrwanie.

— W czém? spytała go boleśnie.

— Ufaj mi pani. Źle, żeś na chwilę wątpiła o mnie, zamiar twojéj ucieczki pogorszył sprawę — z tém wszystkiém nic ma nic straconego. Nie lękaj się pani, jakikolwiek będzie wyrok — załóż rekurs.

Otworzył jéj drzwi do sali sądowéj, w któréj siedzieli już zgromadzeni sędziowie i sam wszedł za nią. Widok ten zmięszał nieco obwinioną — wkrótce jednak odzyskała przytomność. Odczytywania aktów, zeznań świadków, sprawozdań lekarskich trwało czas jakiś — potém nastąpiła obrona, po któréj sąd skazał obwinioną na 20 lat ciężkiego więzienia.

Irreoltema słuchając wyroku omdlała i upadła. Wyniesiono ją do przybocznéj sali — Nuryn patrzał na to siląc się na spokój i zimną krew, podczas, gdy wszystko w nim wrzało i gotowało się. Niepewność o życie Irreoltemy szarpała jego piersi, a nie mógł się z tém zdradzić. Chwila czekania była dla niego straszną, długą męczarnią. Wreszcie otworzyły się drzwi i pachołek doniósł, że skazana wróciła do przytomności.

Sąd polecił Nurynowi udać się za nią i dopełnić niektórych formalności urzędowych. Wstał z pośpiechem i udał się do swéj kancelaryi.

Irreoltema siedziała na stołku głową wsparta o framugę okna, była mocno osłabioną, a w oczach ponure malowało się zamyślenie, z którego nawet wejście Nuryna nie zdołało ją ocucić. Zbliżył się do niéj i dotknął jéj ręki.

— I cóż? spytała go z gorzką ironją — czy jeszcze o nadziei przychodzisz mi pan mówić?

— Teraz bardziéj niż kiedykolwiek; choć ta droga wolności pani będzie zarazem drogą do mojéj hańby.

— Nie rozumiem pana.

— Robiłem co mogłem, by ratując ciebie, ratować i moje sumienie. Dziś to już niepodobna — trzeba poświęcić jedno, albo drugie. Wybawienie pani nie od sądu teraz — ale od władz politycznych zależy.

— Jak to?

— Wiesz pani zapewne o zaszłych wypadkach. Walka w całym kraju się rozpoczęła. Rząd nie obawia się band powstańczych — ma on dosyć siły na zgniecenie ich; ale się obawia Rządu-narodowego i tajnéj jego policyi; ten ukryty nieprzyjaciel dręczy go i trwoży.

— Ale jakiż to ma związek ze mną?

— Posłuchaj pani daléj. Ja jestem jednym z członków organizacyi, znam tajne jéj sprężyny i wiem jéj drogi. Rozumiesz mnie pani teraz?

— Więc za tę cenę pan mógłbyś...

— Nie kończ pani — to myśli zbrodnicze, które nigdy w słowa wcielić się nie powinny. Nie patrz mi pani w oczy, bo wzrok twój będzie piętnował mnie na zbrodniarza.

— O mój drogi — zawołała Irreoltema rzucając mu się na piersi — twoje poświęcenie robi cię aniołem w moich oczach.

— Czemuż wszyscy nie mogą mieć twoich oczów.

— Więc spiesz się, czas drogi — ja tu uschnę, uwiędnę w tych murach.

— A jeżeli cię ocalę — co potém?

Irreoltema nie myślała nad tém; jéj szło tylko o to, aby odzyskała wolność, wiedziała, że jéj użyć będzie umiała. Wybawca nie wchodził w zakres jéj myśli o przyszłości.

— Co po tém? powtórzyła machinalnie — potém będziemy szczęśliwi.

— Słuchaj mnie Irreoltemo, dla ciebie gubię duszę, rzucam moje imię na pastwę pogardy. Dla tego za nim się na ten stanowczy krok odważę, potrzeba mi umocnienia, zachęty. Przysięgnij mi na zbawienie twéj duszy, na szczęście twego całego życia, że kiedy cię ocalę, ty mnie nie opuścisz, że mnie kochać będziesz zawsze, wiecznie — że ani obelgi ludzkie, ani pogarda

ich dla mnie, nie ostudzą twojéj miłości. Wszak widzisz, że dla ciebie wyrzekam się czci u ludzi, spokoju między nimi, że może i życie moje stawiam na kartę — chcę więc jednéj, jedynéj za to nagrody — twojéj miłości. Czy przysięgniesz mi ją?

Irreoltema zbliżyła się do stolika, położyła dwa palce na krucyfiksie i rzekła uroczyście:

— Przysięgam.

— Pamiętaj Irreoltemo, że gdybyś złamała przysięgę, ja nie czekałbym ażby Bóg ukarał ciebie, jabym sam cię ukarał, jabym się pomścił okropnie.

— Nie musisz mnie kochać, kiedy tak grozisz i nie wierzysz.

— Ty jesteś pierwszą moją miłością, jedyną istotą, którą będę miał na tym świecie; dla tego nieposiadając cię jeszcze, drżę już z obawy, by ciebie nie stracić.

— Ocal mnie tylko, a przekonasz się, jak próżne są twoje obawy.

Otoczyła jego szyję rękami i zawisła na jego piersiach. Była to chwila zaręczyn — zdrajca i zbrodniarka tonęli w miłosnym uścisku.

Gdy już miała odchodzić doniesiono Nurynowi, że przyprowadzono dozorcę Onufrego do przesłuchania.

— Wszak to ten, który ciebie chciał ocalić — rzekł po cichu sędzia do niéj. — Czy i on ma być wolny?

— Mało mi na tém zależy — był zapłacony.

— To co innego.

Rozeszli się. Irreoltema wracała do siebie z twarzą ożywioną nową nadzieją — nie wątpiła, że usługa, jaką Nuryn wyświadczy rządowi, przez wydanie w jego ręce organizacyi — ocali ją i uwolni. Przechodząc koło dozorcy okutego w kajdany — ani spojrzała nawet na niego. Ten człowiek ją nie obchodził już wcale, bo jéj nie był potrzebny. — Wróciła do siebie wesoła i długo chodziła po celi rozmyślając nad tém, co jéj Nuryn powiedział. Groźba zemsty jego trwożyła ją nieco. Trapiła ją ta myśl, że ten człowiek jak łańcuch uczepi się jéj, będzie ciężył i zawadzał w jéj pochodzie do szczęścia.

— Świat szeroki — rzekła do siebie w końcu — możemy się nie znaleść więcéj. Tak, wszak to nie trudno.

I twarz jéj biała, zimna — uśmiechnęła się do tych słów dziwnym, jałowym śmiechem. (C. d. n.)

OBRAZY I OBRAZKI

z tatrzańskiéj wycieczki.

(Ciąg dalszy.)

Hanka uchodziła za piękną dziewczynę u dandysów zakopańskich — a zdaje mi się, że i kompetentniejsi znawcy nie odmówiliby jéj tego przymiotnika. Nie miała wprawdzie regularnych rysów, do dobrego wzrostu brakowało jéj parę cali wiedeńskich, o włosach jéj nie można było powiedzieć; bujne, bo w ogóle góralki (czy to wskutek wody, czy wskutek masła — a obu tych rzeczy używają jako pomady) nie mają długich, ani bujnych włosów; ale miała świeżość, młodość, twarz rumianą z dołeczkami, nosek dowcipny, oczy śmiejące się, białe i równe ząbki, ruchy zgrabne i zwinne, mająteczek nie zły, a do tego siłę. Ten ostatni przymiot nie wchodzi w zakres piękności świata ucywilizowanego — panienki po pensjach wysilają cały swój dowcip na zrobienie się wątłemi, idealnemi, interesującemi, delikatnemi itd. — góral przeciwnie, potrzebuje rumieńca, tuszy, siły. Siła u pięknéj góralki zastępuje miejsce owych średniowiecznych rycerzy, walczących w obrońie uciśnionéj cnoty; twarda pięść Hanki nie jednego śmiałka sinym guzem obdarowała. Po ślubie góralka siłę obraca na użytek domowéj pracy.

— A ty tutaj co robisz Hanka? spytałem.

— Ze, czy nie macie oczów, że pytacie? Dyć widzicie, żem tu z bydłem.

— Moja panno od bydła — odezwał się Ksawerek żałośnym głosem — czy nie możnaby jako odszukać tego kawałka sukna, co ten urwisz pies porwał.

— A kto go wie, gdzie zawlókł. Przyjdźcie tu na przyszły rok, to wam z tego kawałka sukna gotowiusieńkie ubranie wyrośnie z ziemi jak zboże.

— Moja kochana — schowaj sobie takie dowcipy dla tych, co z tobą pasą — rozumiesz?

— A czemuż ja was mam za gorszego od nich uważać — odcięła mu dziewczyna — przecież, jakby na to padło, tobyście ta jeszcze nadążyli polecieć za krową, choć taki chérlak z was.

Ksawerek nie wiedział, co na to odpowiedzieć i użył w tym razie zwykłéj taktyki gazeciarskiéj tj.: że uważał dalszą polemikę za ubliżającą sobie i zwrócił się do nas z lamentami:

— Jak ja teraz się pokażę w obliczu dam tak obszarpany? To niepodobna.

— Jak was która z nich ma rada — odezwała się znowu Hanka — to ta nie będzie przecie patrzeć na was gorzéj za to, że wam kawałka gałgana brakuje.

Nie wiem, czy ten argument, czy chęć uwolnienia się od dalszych uwag śmiałéj dziewczyny skłoniła Ksawerka, że nas namawiać zaczął, abyśmy szli daléj. Poczęliśmy się więc zbierać zwłaszcza, że już słonko dawno skryło się za góry i szary zmrok przyćmiewał już kształty gór i kolory.

— A cóż? I nie skosztujecie nawet mojego mléka? spytała Hanka widocznie urażona naszém spieszném odejściem. Zatrzymaliśmy się więc na chwilkę, zwłaszcza, że jeden z przewodników do tego nas usilnie

namawiał. Dziewczyna poczęła gościnnie się krzątać około przyjęcia nas.

— Lepsze twoje mléko, jak słowa — rzekłem.

— Owa, z wami to nawet pożartować nie można. Boicie się gadania, jakby ono zęby miało. No, a ty Stachu będziesz pił?

I podala skopiec jednemu z przewodników.

— Ej, cobyś se ta szkodować miała — rzekł tenże nieśmiało.

— Pijże gapiu, bo ci sama do gardła wleję.

Ani się domyślacie śliczne czytelniczki, że Hanka tym frazesem chciała pokazać mu swoje serce i swoją przychylność. Jak się póżniéj dowiedzieliśmy, Stach nie był jéj obojętnym — on był jéj wybranym tancerzem na pohulankach, on z nią chodził na odpusty i nawet ludzie po wsi coś o ślubie mówili. Trudno się było domyśleć tego z jéj odezwania się i kułaka, którym go poczęstowała przy téj sposobności. Dla Stacha jednak był to wystarczający dowód przychylności i zadowolniony uśmiechnął się do swéj bogdanki, zanurzywszy pół twarzy w skopiec. Co kraj to obyczaj. Są więc ludzie na świecie, dla których kułaki są wyznaniem miłosném.

— I ty tak sama siedzisz tu w górach spytałem.

— A nie — jest ze mną stara Małgorzata — odrzekła pokazując na babę, która właśnie przygnała krowy przed chatę. Była to wiedźma z cytrynową-pomarszczoną twarzą, odziana w brudne płachty, z ponurém wejrzeniem, co jéj nadawało minę czarownicy. W chudéj, kościstéj ręce, co jéj wyglądała z pod płachty, trzymała kij gruby.

— Poeto — odezwał się Sonatowski — zrób odę do téj pasterki górskiéj.

— Nie śmiejta się panowie ze staréj, rzekła Hanka — byli tu tacy, co się zalecali do niéj.

— Sto lat temu.

— I sto dni nie ma.

— A to osobliwy gust.

— Opowiedzże Małgosiu jak to było:

Stara baba rozśmiała się i przy téj sposobności otworzyła bezzębną gębę, jak czarne czeluście.

— Ty lepiéj opowiadaj Hanko.

— Ot tak było: Przyszło tu trzy tydnie temu wieczorem jakichś dwóch jegomościów — jeden jak wół gruby a ciężki, a drugi niby wędzonka.

— To może Pieczeń i Cygaro — zauważyłem.

— Wy ich znacie?

— Znamy.

— Otóż wędzonce zebrało się na całowanie i nuż do mnie w zaloty. A ja mu do ucha, że tutaj mnie wstyd przy drugim, żeby sobie poszedł przed szałas, to za chwilkę wyjdę. Poszedłci i czekał na zimnéj nocy, a ja tymczasem Małgosię mu posłałam. Oj, nacałował się téż nieborak, nacałował — nadawał jéj wstążeczek i pierścionków, że baba mogłaby z tém kram założyć na odpuście.

Rozśmialiśmy się głośno z tego dowcipu przebiegłéj dziewczyny, wystawiając sobie zdumienie i przyjemne uczucie wędzonki, gdy wróciwszy do szałasu poznał swoją omyłkę.

— Mógł się przynajmniéj tém pocieszać — odezwał się któryś, że całował jaką księżniczkę zaklętą w takie brzydactwo przez czarownicę.

— Zdaje mi się, że jemu prędzéj wydawać się musiało, iż całował samą czarownicę.

— I wy nie boicie się tak we dwie tutaj przebywać?

— A czego? Na złych ludzi jest kij — a od wilków to nas bronią juchasy z owczego szałasu, co tam stoi na pagórku. Przytém nie oddawna tak jesteśmy we dwie. Było nas tu panie szesnaście dziób (dziewcząt), to téż było wesoło na halach — śpiewania i muzyki co niemiara. Ale w sobotę spędziły bydło do wsi.

— A wy długo tutaj jeszcze zostaniecie?

— Ze dwa tydnie.

— No to bywaj zdrowa, bo się już nie zobaczymy.

— Je, czemużby nie, dyć ja do wsi znowu przylecę, jeno się jaka pohulanka pokaże. Ot, sołtysianka idzie za chłopa w tę niedzielę — to mnie tam znowu zobaczycie. A strójcie nogi na taniec.

Zła i sporna dziewczyna tak się rozgadała i rozweseliła, że nam się nie chciało opuszczać szałasu, nawet Ksawerkowi wydawała się teraz o wiele milszą i piękniejszą.

— Niczgeo dziewczyna — rzekł do mnie; ale czemu ona taką była jadowitą przedtém.

— Boś ją obraził.

— Czem?

— Powiedziałeś jéj: panno od bydła. Widzisz, takie natury dzikie to trzeba głaskać jak kotki.

— Jabym ta nie był od tego. Za mało żyjemy z ludem, dla tego ma wstręt do nas. Trzeba go przyciągać do siebie — prawda?

— Słuszna uwaga. Zacznij więc twoją misją od Małgorzaty.

— Dziękuję ci za to.

Każdy z czytających równieżby mi zapewne podziękował. Więc nie będę ich nakłaniał do tak trudnego apostolstwa; trud ten zostawmy piszącym — niech robią tak jak piszą. A ja robiłem tak miły czytelniku. Nie wierzysz? Dziś to do mytycznych bajek należy, aby piszący wykonywali sami to co piszą, dziś autorowie są jak komendanci, którzy szeregowcom każą stać na polu i trzymać wartę, a sami idą grzać się do kawiarni; dziś dumni piszą o pokorze, skąpi o dobroczynności, rozpustniki o cnocie — a stare niedowiarki ultramontańskie afekta. — to wszystko prawda — publiczność tak wierzy w tę dwulicowość autora

i utworów, że utrzymywać o sobie przeciwnie byłoby tyle, co narazić się na śmieszność. Nie będę więc bronił siebie; ale powiem wam, że była taka chwila w życiu mojém, w której starałem się zbliżyć do ludu, ująć go sobie — jedynie dlatego, aby mnie z tém dobrze było. Jest to rodzaj poświęcenia praktykowany dość często u nas w Galicyi pod różnemi nazwami, jako to: filantropii, oświaty ludu, braterstwa, dobroczynnych składek itd. A było to tak:

W pierwszy dzień Zielonych-Świąt wracałem z Bielan (pod krakowskich) pieszo romantycznemi cieniami lasu; ale że jakoś zanosiło się na deszcz, musiałem rad nie rad skręcić ku gościeńcowi, po którym wśród obłoków kurzu przesuwały się wozy pełne słomy i głów ludzkich — i chciałem się przysiąść na który z tych drabiniastych omnibusów. Zatrzymałem pierwszy lepszy i spytałem czy jest miejsce. Chłop dla większego zarobku utrzymywał, że jest — a osoby, któremi była fura przeładowana, utrzymywały przeciwnie i każda rozsiadała się jak najszerzéj i najwygodniéj, chcąc, by mi przez to odjąć wszelką nadzieję pomieszczenia się. Ponieważ mi jednak nie szło wcale o wygodne siedzenie, wygramoliłem się na wóz, by jako tako dojechać do miasta.

— Panie! to moja noga — odezwała się jakaś pokojóweczka piskliwym dyszkantem.

— Nie odbieram jéj pani.

— Ale pan mi stanąłeś na niéj.

Podniosłem co prędzéj nogę i jak żuraw utrzymywałem równowagę na jednéj nodze.

— Proszę się tak nie pchać na mnie — zaśpiewała przesadnie jakaś modniarka, a amant jéj rzucił na mnie jak sztylet zazdrosne spojrzenie.

Odsunąłem się więc znowu w drugą stronę, tułając się jak żyd wśród rąk, kolan, nóg, wykrzykników, protestów itd. Jakiś murarz (poznałem to po długim granatowym surducie i białej chustce na szyi) widząc moje kłopotliwe położenie, chciał mi się przez grzeczność (przymiot sprzeczny naturze murarskiéj) usunąć i zrobić miejsce. Ale sąsiadka jego, przekupka o grubéj szyi, obciążonéj dużemi koralami, zajmująca pół siedzenia bujnemi kształtami swemi — położyła protest przeciw téj grzeczności murarskiéj.

— Siadaj kum — rzekła — cóż to? Każden (sic) tu pan za swoje pieniądze.

Strawiłem w milczeniu ten przytyk wraz z kurzem, co mi trzeszczał w zębach i usiadłem skromnie na literce. (Mowa tu nie o literkach alfabetu, ale o drabinkach wozu, tak powszechnie u nas nazywanych). Zmrok już zapadł — ognie sobótek poczęły płonąć już tu i owdzie po wzgórzach.

— Oho, widzi kum — już palą — odezwała się ucieszona przekupka, szturchając kuma, którego śpiąca głowa podskakiwała za każdém wstrząśnieniem wózka.

— Widzi kum? powtórzyła. Kum otworzył oczy spojrzał, mruknął coś i znowu usnął. Baba się niecierpliwiła bezczynnością swojéj szerokiéj buzi, zmiarkowałem tę chętkę i chciałem jéj dogodzić.

— Proszę pani i na jaką to pamiątkę palą te ognie? zapytałem skromnie.

— Jakto, to pan nie wiesz jeszcze?

— Na pamiątkę pogańskich czasów — odezwał się jakiś student siedzący na tyle wozu.

— Figę — z przeproszeniem pana — odpowiedziała mu przekupka — jak pan nie wiesz, to się pan nie odzywaj, a słuchaj, co starsi mówią — uważujesz pan? Ten pan mnie się pytał — rozumiesz pan?

Student już ani pisnął, a baba jak puszczone koło młyńskie recytowała daléj:

— Otóż tedy panie te ognie — ale panu tak niewygodnie siedzieć. —

— O, owszem, owszem.

— Owóż tedy panie te ognie palą uważa pan dobrodziej, na pamiątkę zesłania Ducha-świętego (tu się przeżegnała) na apostołów. Te łuczywa, z któremi chłopaki latają po polu, to niby — żeby to pan jako wygodniéj mógł siąść — mówiła baba z troskliwością.

— Ależ dziękuję ślicznie — więc te ognie?

— To widzi pan niby ogniste języki.

— I proszę pani dobrodziejki — odezwałem się znowu — i to tak po całym kraju taki zwyczaj, czy tylko w krakowskiém.

— Ale po całym kraju panie — to samo pan zobaczysz koło Wieliczki, i pod — oh, lo Boga, jakże tam panu niewygodnie. Kumie — zawołała szturhając murarza — kumie, niechże kum wstanie, żeby sobie osoba siadła.

— Ależ pani dobrodziejko, każden tu pan za swoje pieniądze.

— O! to zaś nieprawda — osoba osobie nie równa. No kumie, usuńcie się, przecież osoba nie może tak jechać.

Tak więc osoba zbliżyła się do ludu, a raczéj do pulchnych kształtów przekupki i wygodnie dojechała do Krakowa. Demokratyczna idea zrobiła mi miejsce. Powiecie, że murarz i przekupka nie reprezentują ludu — to prawda; ale tak jak wy zbliżacie się do ludu, szukacie jego braterstwa i ściskacie go za rękę, by was nie palił, nie kradł, nie zabijał — a z góry patrzycie na krawca, szewca, wyrobnika — tak znowu jak (ponieważ mi to korzystniéj wypadało) do mieszczańskiego proletarjatu w umizgi poszedłem, a chłopa „chama", od którego nic nie potrzebowałem, ani bać się go nie miałem potrzeby — ignorowałem. Każdy robi jak mu wygodniéj — za kulisami najwspanialszych frazesów i idei stoi interes.

Ale dosyć o tém. Czytałem świeżo artykuł korrespondenta z pod Wawelu, który nie radzi grzebać

w śmietniku wad ludzkich i wyśmiewać błędy ludzkie, bo to (jak zapewne z własnego korrespondent doświadczenia się przekonał), nikogo nie poprawi. Zostawmy więc niepoprawnych i ich adwokata na śmietniku, a wróćmy napowrót na zielone hale tatrzańskie.

Udobruchaną i rozweseloną Hankę pożegnaliśmy, kiedy już dobrze pociemniało. Na odchodném każdy jéj dał to dobre słowo, to datek na wstążkę.

— Bo byście mogli zanocować w szałasie. Tam przy stawie wymarzniecie uczciwie — radziła Hanka.

Dla wygodnisiów była to ponętna rada, ale nam nie przypadła do smaku. Noc przepędzona wśród gór, nad stawem, przy księżycu miała dla nas ponętniejszy urok. Pożegnaliśmy więc Hankę i ruszyliśmy w drogę.

Szliśmy w milczeniu sznurkiem za przewodnikami, bo własnemi oczami nie podobna już było kierować się wśród ciemności po niewyraźnéj pérci (przypominam, ze pérć jest to chodnik wydeptany przez owce i juchasów). Chodnik wił się kręto między omszonymi wysokiemi głazami, to znowu ginął wśród wilgotnego mchu i gęstéj borowiny, to czepiał się boków stromych skał, lub schodził w głęboki parów, przechodził strumienie i znowu wspinał się na pagórki. Jak wąż, co z szumem przesuwa się między zielskami, tak nasze towarzystwo to znikało na chwilę w gęstych zaroślach, to znowu ukazywało się na wzgórku. Górski potok lecący od Gąsienicowego stawu, szumiał i szemrał po kamieniach, a nie duży gaik usychających świerków szeleścił popielatemi, suchemi gałęziami. Grzbiet Koszystéj począł rozjaśniać się srebrzystą łuną — była to niewyraźna zapowiedź wschodu księżyca.

— Objaśniajcież nas przecież — odezwał się profesor kaligrafii do przewodników — co to za okolica, co w niéj ważnego. Od czegóż jesteście przewodnikami? Za cóż pieniądze bierzecie? Proszę widzieć przewodników za granicą — to mi przewodnicy, co kilka kroków mają coś nowego powiedzieć, co chwila zwracają uwagę podróżnych na piękność okolicy — na położenie miejsca. Takie pouczające wycieczki to co innego.

— Je, alboż to nie macie oczów — odparł mu naiwnie jeden z przewodników.

— No, ale przecież musicie coś bliższego wiedzieć o tych miejscach, coś ciekawego, jakieś wydarzenie.

— A cóżby tu się wydarzyć miało? Przed wczoraj w téj kotlinie wilki zagryzły Stachowi trzy owce — ot i tyle.

— Co? wilki? odezwał się zestrachany profesor. — Panowie, słyszycie — wilki. Tu przecież nocować nie możemy i narażać życia samochcąc, gdy kto ma obowiązki — stanowisko.

— Alboście to baran, że się tak wilków boicie? spytał przewodnik śmiejąc się.

— Mój przyjacielu, tu nie ma żartów. Wilk nie przebiera między baranem a człowiekiem z wykształceniem. Panowie, jabym proponował wrócić się.

— A to po co — odezwał się któryś — jest nas tylu, przytem Dezydery ma rewolwer.

Jakby dla uspokojenia obawy profesora o jego cenne życie, Dezydery wypalił z rewolweru — okoliczne góry odpowiedziały kilkakrotnemi echami — od szałasów zawtórzyły im głośne, przeciągłe hukania juchasów i szczekanie psów.

W téj chwili Ksawerek, który szedł za mną, chwycił mnie za ramię i stłumionym, tragicznym głosem odezwał się:

— Jezus, Maryja.

— Cóż się stało? Wąż?

— Nie. Ale zdaje mi się, że mi bucik pękł. Mój złoty, zatrzymaj się na chwilkę.

— Ależ zdaje ci się.

— Dałbym nie wiedzieć co, żeby tak było; ale nagle zrobiło mi się przestrono i mokro.

— Rozmokły buciki od wilgoci.

— Nie, nie — zawołał z rozpaczą — pękły. Słowo honoru daję, pękły. Patrz!

Ależ nie — tylko rozlazły się.

— To wszystko jedno. Boże, co ja teraz pocznę.

— Na Zawracie będziesz miał liczniejsze towarzystwo bez butowców.

— Ależ damy.

— Wybaczą. Zresztą weźmiesz góralskie kérpce.

— Dalekoż jeszcze ten przeklęty staw, ja tak nie dojdę.

— Nie precz (nie daleko) panoczku, hajnok za góreczką — uspokajał przewodnik.

— Ale za którą, bo ich już ze dwadzieścia minęliśmy. Mój Boże, moje ostatnie eleganckie buciki.

— Panowie, zanim tę góreczkę miniemy, czy nie wypadałoby coś przetrącić, bo ja głodny okropnie — odezwał się Bolek.

— I ja — zawtórował Maryjan.

— I my, i my.

— Ależ panowie, to już nie daleko do stawu. Prawda Jonku.

— Nie preczki.

— Jakto, nie preczki? Jak prędko tam staniemy?

— Prędzéj niż miesiączek, choć już się pokazuje z za góry.

Przewodnik nas nie zwodził, za kwadrans stanęliśmy na ostatnim pagórku, stanowiącym niby wał, niby groblę stawu i metalowa powierzchnia wody zaszkliła się wśród posępnych gór. Mrok nocy spoczywał jeszcze na górach i na zwierciadlanéj szybie wody. W miarę jak się księżyc podnosił w górę, cienie ustępowały, zsuwały się coraz niżéj, skały bielały — a szeroka szyba stawu srebrzystego nabierała połysku.

Wspaniała i niezwykła dla nas była taka noc księżycowa wśród olbrzymich skał, którym białe światło niebieskiéj lampy i fantastyczne cienie potworne, dziwaczne nadawały kształty. Szczerbaty K o ś c i e l e c wznoszący się tuż za stawem, rzucał duży zygzakowaty cień na jasną jego powierzchnią — w dali inne góry majaczały niewyraźnie za mglisto-srebrzystą zasłoną. Cała dolina, którąśmy przebyli, rozścielała się przed nami jak ciemny kobierzec, na którym niewyraźnie oświecone przedmioty wydawały się jak tajemnicze niejasne hieroglify. Na pagórkach błyskały małe światełka w szałasach. Głęboka cisza, wśród któréj wyraźnie słyszeć się dawał szmer strumieni i każde lekkie zerwanie się wiatru, podnosiła urok téj nocy najpiękniejszéj, jaką widziałem w życiu — najpiękniejszy ustęp z tego cudownego poematu, który ma tytuł: Natura, a pisana jest przez żywioły ziemi i potęgi nieba.

Czas jakiś staliśmy oczarowani widokiem, jaki się przed nami roztaczał — a przewodnicy tymczasem ścinali toporkami c e t y n y (gałęzie wraz z liściami) i kosodrzewinę i rozniecali duże ognisko.

— A co profesorze, może ci potrzeba przewodnika, któryby ci powiedział, czy to piękne? odezwałem się.

— Wiecie panowie co? odezwał się Bolek — zmieńmy nieco porządek: pierwéj zjédzmy co, a potém zachwycajmy się naturą.

Projekt ten widocznie trafił do przekonania większości, bo skwapliwie poskoczono do tłomoczków.

— A to co? zawołał przerażonym głosem Bolek.

— Cóż takiego?

— Nie, to niepodobna.

— Cóż się stało?

— Naszych prowiantów nie ma.

— Ale żartujesz.

Rzuciliśmy się wszyscy do szukania, rozpakowaliśmy wszystkie tłomoki, przetrząsnęli każdą burkę, każdy szal — i okropna wieść potwierdziła się: prowiantów nie było. Pokazało się, że jeden z przewodników w pośpiechu zamiast zawiniątka z prowiantami, zabrał mokrą bieliznę, którą nasza gospodyni wróciwszy od rzeki, zostawiła w płachcie przed domem. Okropna ta pomyłka przeraziła nasze żołądki.

— I cóż poczniemy teraz?

— Zanucimy od ognia i głodu zachowaj nas Panie. Właściwie tylko od głodu, bo ogień wśród téj zimnéj nocy, to rzecz wcale nie do pogardzenia.

— I nikt nic nie ma przy sobie?

— Ja mam Gdańskówkę — wyrwał się Maryjan.

— Dobra na rozbudzenie apetytu; a nam to na co? Chyba, żebyśmy siebie zaczęli pożerać wzajem, jak dzicy ludzie.

— Doskonała myśl — zawołał Bolek — poetę na rożen, bo najpokaźniejsze ma mięso.

I wziął mnie wśród ogólnego śmiechu w pół i niósł do ognia.

— Panowie! odezwałem się z za szerokich ramion Bolka jak z kazalnicy — przystajecie na zastępcę?

— Któż cię zastąpi?

— Baran z pobliskiego szałasu, poślemy po niego, ja funduję.

— Wyborna myśl — wartoby ją złotem ryć na skale.

— Albo lepiéj w żołądku.

— Wiecie co panowie — rzekł Sonatowski — na pamiątkę wystawimy tu poecie pomnik z kości baranich.

— Wiesz, ta myśl o baranie to najpiękniejszy poemat, jaki z ust twoich kiedy słyszałem.

— Baranina, baraninka — mówił znowu Bolek, mlaszcząc i cmokając z uciechy — co to za arcydoskonała rzecz. Upieczona, posolona.

— A zkąd soli do niéj?

— Prawda!

— A dyć jéj dość w szałasie — toć całe bryły leżą u drzwi wylizane przez owce — rzekł Stach.

— Więc leć Stachu do szałasu po sól i barana. A spiesz się, bo wiedz, że niesiesz Cezara... chciałem powiedzieć barana i nasze losy.

Stach się zerwał, wziął kij i wnet zniknął za krzakami kosodrzewiny.

— A tymczasem możeby herbatki?

— A cóż na jutro?

— Prawda. Co masz zjeść dziś, zostaw na jutro, tak mówi przysłowie.

— My je zmienimy, zjemy dziś, a wypijemy jutro.

— A tymczasem panowie może zabijemy długie chwile czekania nocną przejażdżką po wodzie.

— Jakto, pływać? Dziękuję.

— Jest tratwa u brzegu z wiosłami.

— Ja dziękuję i za to — rzekł Ksawerek — wolę czekać na stałym lądzie barana.

— I ja zostanę z tobą — zawtórował Bolek.

Trzech tylko dało się namówić na tratwę; przewodnik czwarty wsiadł z nami. Plusnęło wiosło — odbiliśmy od brzegu. Gładka powierzchnia wody zmarszczyła się, poczęła falować w szerokich kręgach, na których chwiały się gwiazdy, księżyc, rozciągając się i skurczając na przemiany; srebrzysta piana wznosiła się za wiosłami i opadała w jezioro djamentowemi kroplami. Ominęliśmy wysepkę, czerniącą się w pewnéj odległości od brzegu i sterowaliśmy prosto ku Kościelcowi. Cień góry nakrył nas całunem — brzeg, do któregośmy płynęli zdawał się coraz odsuwać od nas, a obszerność stawu, który nam się z początku nic wielki wydawał — rosła nam w oczach (ma przeszło 31 mórg) — duży ogień, przy którym nasi towarzysze siedzieli — zmalał znacznie, a czarne figurki ludzi na

czerwoném tle ognia wydawały się jak szopkowe kominiarczyki. Przy takcie pluskających wioseł zanuciliśmy chórem:

Wesoło żeglujmy, wesoło
Po życia burzliwym potoku,
Jak orły w gradowym obłoku
Wesoło żeglujmy, wesoło!

Na zakończenie każdéj zwrotki Dezydery wypalił z rewolweru. Huk jakby armatni drżał długo wśród skał — potem wionął daléj, odbił się o Koszystą i gdyśmy myśleli, że już skonał — on jeszcze zaszumiał w odległych górach jak przelatujący huragan.

(Ciąg d. n.)

KORESPONDENCJE.

Lwów w maju.

(Lwów a Kraków — wystawa lwowska.) — Zkąd to pochodzi, że Lwów wzrasta, że zaczyna przybierać postać wielkiéj stolicy? Siedziba władz krajowych i rządowych, to jeden dopiero warunek — gdyby mu inne nie odpowiadały, stałby odosobniony, zamknięty w ramach kilku budynków. Ruch i życie musi wchodzić z dołu, sama ludność musi czuwać i oglądać się za wszelkiemi dźwiganiami postępu, oświaty i dobrobytu; nie zostawiać swoich interesów na opiekę czy to władz, czy rad, czy osób; ale sama o nie dbać; umieć się skupiać, mieć na tyle zmysłu i ochoty, żeby każdą dobrą sprawę przygarnąć, przyjąć za swoją i wszystkich dla niéj zainteresować. Ta żywotność wewnętrzna może dopiero korzystać z warunków zewnętrznych, które już są i stwarzać nowe. Przeciwnie w Krakowie, zdaje mi się, że lubo warunki zewnętrzne: położenie, jednolitość ludności, ustalony urok miasta starego -- podają możność wzrostu i podnoszenia się; to jednak dziwna jakaś apatja ogółu, brak tego, co się nazywa publicznością, jakaś hipochondria społeczna panują tam w powietrzu, podcinają najżywotniejsze pomysły i utrzymują ogół w tym błogim stanie martwoty, która zdaje i siebie i interesa swoje wyłącznie w ręce pewnych firm, lub instytucyj; a nie ma wcale ochoty, ani nie czuje potrzeby nadzoru, przypilnowania, bodźców. Konserwatyzm przemienił się u was w bezwładną apatją, pobożność karykaturuje bigoterja, sprawy publiczne dostają pokost parafiańskich, miejscowych widoków — każda nowość uważaną bywa za wywrot, i ma Kraków to szczególnego, że swoich rzeczy i ludzi bardzo często poszanować i ocenić nie umie. U nas we Lwowie są znowu inne wady, mniéj zadawnione, więc i mniéj niebezpieczne, ale zawsze szkodliwe. Dosyć tu przytoczyć ciągłe dziennikarskie kłótnie, które w sposób gorszący nieraz i o przyzwoitości zapominają, a zwykle do osobistości schodzą — albo też zbyt śmiałe nieraz próby eksploatowania publiczności przez dowolnie wystawiane szyldy, lekkomyślne kompromitowanie znaczenia słowa, literatury i dziennikarstwa itp. Niemniéj jednak, w każdym kierunku, w rozwoju politycznym, społecznym i literackim, nie ma sprawy dobréj, którąby publiczności u nas nie znalazła i zajęcia nie budziła. Na odczytach bywało pełno, sprawa teatru zwichniętego przez obecną dyrekcją — porusza żywo dzienniki i publiczność, zasłużone towarzystwo muzyczne rozszerza swoją działalność, towarzystwo literackie obiecuje skupić wszystkie siły, a pierwsza wystawa towarzystwa sztuk pięknych wypadła nadspodziewanie i rozstrzygnęła o losie tego nowego zakładu.

Najcelniejszych utworów dostarczył Kraków — a są one u was od kilku lat znane jak: Sędziwój Matejki, Kotsisa — Flisacy, Chłopiec strzelający z klucza, Rekrutacja, obrana na tegoroczne premium; Gryglewskiego, Katedra wawelska, Eliasza, Klucznik Gerwazy. — (Opuszczamy wzmianki o obrazach Grabowskiego, Grotgera; gdyż znajdą one gdzieindziéj swoje miejsce, przyp. Red.). Mirecki również z Krakowa nadesłał obrazki rodzajowe — z których Modlitwa poranna, ubogiéj i nieładnéj dziewczynki na poddaszu jest utworem prawdziwego talentu, malowanie wyborne, ciepło i prawda w każdym szczególe. Pomiędzy widokami odznaczają się Grabiński ze Lwowa i Szermentowski z Warszawy. Liczne i w różnym kierunku obrazy Penthera ze Lwowa — świadczą o sumiennéj i rozległéj pracy, oraz, że artysta jeszcze swoją szkolę odbywa. Macewicz (Placówka, widok Ś. Jura, Dantyszek) okazał wiele uczucia, i wiele błysków talentu widocznie rosnącego. Młodnicki dał kilka obrazków fantastyczno mistyczno-alegorycznych — jest to jakaś mieszanina, szukanie i macanie za kształtami i wyrazem dla myślącéj duszy, któréj ubite tory nie wystarczają, ale nowych dla siebie jeszcze nie znalazła. Pomiędzy portretami zajmuje pierwsze miejsce Rodakowskiego, Portret kobiety — Technika wykończona, klasyczny spokój w traktowaniu, umyślne pominięcie wszelkich zewnętrznych efektów, oto cechy mistrza. Tepa rozmiłował się w wdzięcznych akwarellach typów ludowych.

Z Warszawy nadesłał Gerson: Matkę-bolesną, obraz znakomity promieniejący ciepłem i poezją religijną — i Oracza, chłopa polskiego, zamyślonego nad pługiem — obrazek mały, a nad którym można się godziny zastanawiać, tyle tam treści i w samym przedmiocie i w sposobie oddania go. — Kossak — Targ koński na Pradze obraz rodzajowy, pełen ruchu, najrozmaitszych scen i typów — a tak ugrupowanych, że oko nie gubi się i nie błąka, ale z prawdziwą przyjemnością całość ogarnia.

(Wzmianki o innych obrazach opuszczamy — gdyż znajdą miejsce w sprawozdaniu z wystawy krakowskiéj, gdzie je nadesłano przyp. Red.).

Rzeźba dała również znaki życia. Parys Filippi z Krakowa, osiadły obecnie we Lwowie, dał kilka popiersi: W. Pola, K. Ujejskiego, K. Szajnochy, M. Romanowskiego i medaliony kobiet i mężczyzn, które wszystkie odznaczają się podobieństwem, wybitnym wyrazem i właściwą temu artyście delikatnością dotknięcia, która zwłaszcza twarze kobiece pewną nieokreśloną idealnością powleka. Bardzo udatny jest model na pomnik dziecka. W niszy wklęsłéj, mającéj być umieszczoną w ścianie, jest ponad godłami śmierci zawieszona główka chłopczyka, a przyczepione skrzydelka unoszą ją oraz i myśl widza w anielskie światy. Dolorosa — głowa, na któréj boleść maluje się w każdym rysie, w każdéj linii. Nadto w pracowni tego artysty, który odnowił pomniki żółkiewskie — znajduje się wielki pomnik jenerała Dwernickiego z piaskowca — i kolosalny biust Artura Grotgera.

Można poznać z tego przeglądu, że pierwsza wystawa nasza była i co do ilości i co do jakości doborową. Na zakończenie wspomnę, że publiczność dziwiła się wielce, że p. Leopolski z żadnym utworem nie wystąpił.

Porozumienie się obu towarzystw sztuk pięknych, do którego tutejsze tak chętnie dłoń podało, pomoże im niezawodnie do tém rozleglejszéj działalności w dziedzinie sztuki. *W.*

TEATR. Z ostatnich przedstawień, któremi zakończył się świetny tegoroczny kurs, o trzech jeszcze utworach pomówić nam trzeba. — *Livia Quintilla* jednoaktowy z rzymskich czasów dramat Rzętkowskiego, podał p. Modrzejowskiéj sposobność pokazania się w niezwykłéj koturnowéj postaci. Dumna Rzymianka, zaręczona pretorowi z konwenansu, pokochała niewolnika, który był, jak to bardzo często się zdarzało, człowiekiem wykształconym i poetą. W walce między hańbiącą miłością i dumą obywatelki wolnéj, kiedy nie jest wstanie oprzeć się popędowi serca, odbiera nadto straszny cios. Zazdrosny pretor zagraża jéj, że jako pochodząca z matki-niewolnicy, bezprawnie dziedzictwo po ojcu zajęła, więc on, jeżeli nie pojmie jéj jak żonę, to na mocy ustaw jak niewolnicę do nóg swoich ją rzuci. Żąda od niéj jako jedyny środek ocalenia — aby podała truciznę niewolnikowi, jéj wybranemu. Livia obdarza niewolnika wolnością jako jego pani — a sama zażywa truciznę, gdyż śmierć ratuje ją zarówno od pretora, jak i od hańby niewoli. — Dramatyczna szczytność jest tu chybiona przez wprowadzenie groźby niewoli. — Gdyby Livia bez tego wybrała śmierć, byłaby to ofiara, zapomocą któréj czyni zadość i ocala dobrowolnie zarówno dumę jak i miłość, których pogodzić obyczaj nie pozwalał. Tymczasem nacisk obawy, strachu staje się rozstrzygającym motywem, cofa na drugi plan miłość, a ofiara życia jest przymuszoną prawie przez okoliczności zewnętrzne. Co zaś nie jest wprost koniecznością, wynikiem walczących w piersi ludzkiéj uczuć może być smutném, powieściowém, ale przestaje być dramatyczném i widza nie porusza. To jest wewnętrzna przyczyna, że publiczność przyjęła ten dramat zimno, mimo pięknéj dykcyi i wybornéj gry, podniesionéj jeszcze urokiem rzymskich kostiumów.

— *Mąż na wsi*, komedja z francuskiego, ma wysoką psychiczną i obyczajową wartość. Matka żony, rządzi całym domem, i utrzymuje go w przesadnie surowym tonie purytanizmu i dewocyi. Mąż jéj córki znudzony i zawojowany, zdał się dla miłego spokoju na wolę bożą, czyli raczéj na wolę matki. Tymczasem, pod pozorem wyjazdu na wieś, szuka poza domem rozrywki, towarzystw, awanturuje się, aby odetchnąć trochę z jałowych nudów panujących w domu. Przypadek sprowadza żonę i matkę po kweście do pewnéj wdówki, gdzie się odbywa bal i gdzie właśnie pan mąż sobie hula. Zdarzenie to, z którego korzysta przyjaciel męża dla przywrócenia właściwego porządku, reflektuje żonę, która kocha męża i boi się, że go może utracić, odstręczyć i zupełnie dla siebie zniechęcić. Daje się więc nakłonić, że zmienia postępowanie, postanawia rozpogodzić uśmiechem wesołym fizyonomią domu, stworzyć w pożyciu domowém świat i życie potrzebne dla męża. Surowość zakonna i rządy matki ustają, mąż odzyskuje swoje prawa, a żona szczęście i spokój. Treść ta rozwija się w dosyć żywéj akcyi. Co do gry należy się palma p. Hofmann, gdyż umiała w roli żony uchwycić wybornie całym układem i głosem typ potulnéj, poczciwéj zawojowanéj trusi, którą ucisk serdeczny przebudza i odradza.

— *Les Ganaches* (safanduły), przez Sardou, jest to komedja charakterów. Na wsi, w zamku margrabiego zebrał się dziwny świat z samych przedpotopowych figur. Stary arystokrata książę, który śpi — syn jego margrabia, rojalista, kawaler z czasów rejencyi — doktór, konwencjonista z czasów rewolucyi, despota — republikanin, któremu w krew przeszło przekonanie, że do wolności trzeba ludzi gwałtem przymuszać, prawa człowieka teroryzmem zaszczepiać, a Boga nie nie uznaje — daléj zbogacony *episier*, najzwykléjszy malkontent narzekający na zepsute czasy sam nie wiedząc czemu — kuzynka margrabiego, stara panna oddana zakładom dobroczynnym, plotkom i swojéj suczce, zachowująca maniery i strój zeszłowieczny (p. Ekerowa zrobiła ją ordynarną, a ona powinna być tém komiczniejszą, im więcéj dystyngowaną na stary manier). Mimo sprzeczności żyją oni razem, nie chcąc nic wiedzieć, co się po za niemi dzieje. Do tego świata odo-

sobnionego dostaje się siostrzenica margrabiego — ona i inżynier w którym jest zakochaną, to świat i cywilizacja dzisiejsza, która zakłóca ten ślimaczy porządek. — Margrabiemu zagraża kolej żelazna, która mu stary dom ma zburzyć, zagraża ta miłość do plebejusza. — Aby pierwszemu przeszkodzić, wybiera się sam po 30tu latach do Paryża — i interes ułatwia — ale sam się zmienia — przebrał się, odmłodniał, a nawet myśli o ożenieniu z siostrzenicą. Ta jednak z rozpaczy, gdyż jéj kochanka odepchnięto — zachorowała śmiertelnie. — Potrzeba pomocy, a tu ani kolei, ani telegrafu — jedynym środkiem wielka radość — margrabia przymuszony uznać, że na starość chciał głupstwo zrobić, odstępuje od rodowych przesądów, a nawet stary książę zgadza się na inżyniera, gdyż doktór lubo sam ateusz, sprowadził na niego spowiednika. Tak więc ludzi przesądnych i zaśniedziałych przyprowadza autor stopniowo do tego, że wzetknięciu z dzisiejszym światem od swoich uprzedzeń odstępują, przyjmują warunki nowéj cywilizacyi, która może mieć wady, ale umie prędzéj i lepiéj bliźniemu pomagać. Głównym motorem tych przemian są prawa serca — po wszystkie wieki i we wszystkich obozach jedne i te same. To są zarysy komedyi — atoli w budowie całości giną one i psują się. Ekspozycja jest nudną i niepotrzebną gadaniną — episier, jego zepsuty syn, notarjusz, poeta dworski, są to wszystko osoby nadliczbowe, o których przy podaniu treści, ani wspominać nie potrzeba; zbytecznym jest i stary książę, gdyż margrabia reprezentuje to samo. — Utwór dramatyczny nie jest powieścią ani galerją oryginałów; epizodów nie znosi; każda scena i każda osoba musi być potrzebną do akcyi. Budowa téj komedyi jest więc bardzo słabą — wygląda ona jak ów dworek, do którego ze wszystkich stron lamusy i klitki poprzyczepiano. Może to być czasem wygodnie, ale nikt tam pewnie stylu architektonicznego nie odszuka. Są jeszcze i dalsze wewnętrzne błędy. Kuzynka, która plotkami najwięcéj w komedyi broi, która jedna powinna być ukaraną, tj. skompromitowaną przez ostateczną śmieszność — wychodzi zupełnie calo — nie uczynił autoć zadość wymaganiom sprawiedliwości estetycznéj. Doktór jest wybornie nakreślony, a do tego p. Rapacki wyglądał w téj roli jakby żywcem z Thiersa lub z starych portretów wyskoczył. Nie jest to jednak charakter komiczny — owszem konsekwentny, mimo trudnych sytuacyj. Komicznym jest jedynie margrabia, który wpada w sprzeczności sam ze sobą — jest to jedyna osoba w komedyi, która w ciągu akcyi odbywa przemiany, musi się cofać, żenować za swoje postępki — w czém główna siła wyższéj komiki zależy. Oryginalny jest stosunek miłosny — panna zakochana i w skutek zbiegu okoliczności przekonana o wzajemności, wypowiada swoją miłość przed kochankiem, który o niczém dotąd nie wiedział — i dopiero od téj chwili wglądnąwszy w otwartą duszę dziewczyny, zostaje sympatyczną siłą jéj uczucia porwanym. Sytuacja ta daje autorowi sposobność do pięknych scen lecz kosztem prawdy — możnaby powiedzieć, że przecholował. Jest bowiem niemożliwém, aby młody człowiek z wrażliwą duszą, w pierwszych zaraz scenach nie był odczuł i zrozumiał, że jest kochanym. Autor tymczasem jeszcze do końca drugiego aktu nie pozwala mu się nic domyślać. A następnie z sytuacyi psychicznie drażliwéj i delikatnéj robi historją szpitalną, mogącą doktorów zająć, ale dla widzów ckliwą, nawet kiedy kochankę gra p. Modrzejowska, która ratując niezręczność autora, serdeczną grą zdobywa współczucie i zrazu wrażeniem gry zamąca krytyczny sąd.

Zarysy komedyi, pomysł kolizyj i charakterów jest wyborny — ale w przeprowadzeniu wielka niewprawa — bo też to jedna z pierwszych sztuk p. Sardou. Rolę Urbana, zepsutego smarkacza, powinien ze względów estetycznych, koniecznie grać mężczyzna — p. Hofman nie powinna jéj przyjmować.

Nakoniec tytuł „safanduły“, jest zupełnie niestósowny — są to ludzie nie dzisiejsi — ale dajcie im warunki odpowiednie, a margrabia będzie jeszcze doskonałym kawalerem dworskim, doktór podjąłby się dyktatorstwa. Nie safandulstwo odcięło ich od świata — ale dobrowolnie się odsunęli i konserwują w ukryciu. Lepsze byłyby nazwy „mumie“ albo „odludki“.

Życzymy teatrowi naszemu w Poznaniu tego powodzenia i uznania, na jakie ze wszech miar zasługuje.

S.

Kościotrup w Krakowie i rozmowa z duchem.

Nim zacznę opowiadanie, muszę upewnić, że nie opowiadam fantazyi własnéj, ale to, co mi się istotnie zdarzyło, na co daję słowo. — Niech tam mądrzy łamią sobie głowy nad dziwnemi zjawiskami; ja powtórzę tylko: „że są rzeczy, o których się filozofom nie śniło“.

Nie pomnę już dziś, czy to było w 1851 czy w 1852 roku, dosyć, że w ten czas, kiedy z Ameryki przyszła manja wirowania stołów i rozmowy z duchami.

Kopano wówczas studnię na rynku w Krakowie, naprzeciw kościoła NPMaryi. W znacznéj już głębokości natrafiono wśród pracy na sklepioną piwnicę, w któréj z największém zdziwieniem ujrzano kościotrupa przywiązanego przez pół wielkim łańcuchem do słupa.

Kościotrup ten, za dojściem powietrza rozsypał się, a szczątki tylko jego, i łańcuch, wydobyto na wierzch — i przez kilka dni lud krakowski zbiegał się na rynek oglądać kości tak tajemniczego nieboszczyka.

Sama oglądałam głowę jego — była to głowa mężczyzny, na któréj gdzie niegdzie widać było jeszcze włosy.

Na widok ten tysiące domysłów powstawało, każdy radby był przedrzeć zasłonę kilkowiekową — i dotrzeć prawdy.

Kto mógł być ten nieszczęśliwy? Byłże to zbrodzień — lub ofiara niewinna intrygi, zawiści — przemocy?

Kto skazał bliźniego na taką śmierć — straszną — okropną — powolną? Czy sądy ludzkie — czy jakie zapomnienie — próba — przypadek? tysiące myśli snuło się, patrząc na te kości i na tę głowę. Ale nic tu nie pomógł domysł ludzki — wieczna tajemnica okrywała i okrywa losy życia i śmierć nieszczęsnéj ofiary — po wiekach może wydobytéj.

Jak już wspomniałam, panowało wtedy w Krakowie owo wirowanie stołów, i rozmowy z duchami. Niemal w każdym domu można było zastać kilka osób poważnie, przy stoliku, z położonemi nań rękami siedzących; lub sylabizujących z wypisanego alfabetu rozliczne koncepta, zdania i wyrocznie. Z mojém usposobieniem, zawsze bujającém po za światem, i duszą rwiącą się do zgłębienia tajemnic zagrobowych, znalazłam w tych rozmowach niby to z duchami nie mały urok. Do tego od lat najmłodszych miałam szczególne zamiłowanie w czytaniu dzieł o magnetyzmie i do opowiadań o jasnowidzących i zamagnetyzowanych. Byłabym oddała połowę życia, gdybym była mogla być kiedy magnetyzmem uspioną, lub przynajmniéj rozmawiać z jasnowidzącym prawdziwym.

Dla tego, mówię, ta duchomanja ówczesna ogarnęła i mnie całą. Dziś jeszcze, gdyby mnie spytano, jakie moje o tém zdanie — odpowiedziałabym: „nie wiem" — wiele bowiem doświadczyłam za i przeciw temu przemawiającego.

Dla tego, nie zgłębiając obecnie tego, ani wdając się w fizykę, ani filozofią, chcę jeno opowiedzieć rzeczy tyczące się wykopanego w rynku kościotrupa.

Córki moje były tak przepełnione tą ówczesną manją czy siłą, że za dotknięciem jakowegoś lekkiego przedmiotu, po dwóch minutach tenże się poruszać zaczynał. — Uprzedzam, że były to dzieci — a zatém oszukaństwo, ani zdrada nie miały tam miejsca; a nadto nie mogly tam być odbicia własnych myśli, dzieci niemyślących.

Pamiętam, że niby to duch Kochanowskiego — składał piórem méj córeczki najpiękniejsze wiersze.

Przyszło mi więc snadnie na myśl, zapytać ducha, kto mógł być nieboszczyk — wykopany w rynku krakowskim?

I niebawem córka moja siedziała z piórem w ręku, zdając opowiadania, czyli raczéj opisania dziejów kościotrupa.

Jakoż pióro, wszedłszy raz w ruch, spisało z nadzwyczajną szybkością cały ogromny arkusz papieru. Kiedy już przestało poruszać się, porwaliśmy z gorączkową ciekawością papier. I o dziwo! czytaliśmy — tak zwięzłym stylem, jakim ja tu tego oddać nie zdołam, następującą legiędę:

Przed laty, kiedy wiara chrześcijańska poczęła świtać już w naszéj Polsce, w stronie za Krakowem, gdzie dziś stoi kopiec Kościuszki i góra Ś. Bronisławy, były jeszcze ogromne lasy, mające w sobie mnóstwo dzikiego zwierza; przybył z dalekich okolic pobożny pustelnik i osiadł w tych lasach. Wychodził jeno niekiedy dla nauczania niewiernych.

Znany jednakże był w całym Krakowie, bo jego cnoty i życie ostre pustelnicze przechodziły z ust do ust.

Między bogatymi mieszkańcami na tedy w Krakowie, miał żyć, jak zagadkowe pióro pisało, jakiś wielki ale zatwardziały w pogaństwie pan, nie cierpiący nowéj wiary i starający się gdzie mógł szkodzić i wytępiać ją. Odgłos o pobożnym i nawracającym pustelniku doszedł wnet i do jego uszów.

Odtąd bogacz ów pogański miał powziąść do pustelnika zawiść wielką — i przemyśliwał nad sposobem zgładzenia go ze świata.

Magnat ów pogański miał mieć swój pałac w tém miejscu, gdzie obecnie stoją Sukiennice; od jego pałacu ciągnęły się wielkie piwnice, sięgające aż po za rynek. Otóż po długich zabiegach udało mu się ściągnąć do siebie pustelnika — pod pozorem, że on z całym swym dworem chce przyjąć nową wiarę — byle pobożny pustelnik przyszedł do jego pałacu wykładać i nauczać jéj prawdy.

I gdy tak ściągnął pustelnika do siebie, miał go kazać swym sługom porwać — i w tych głębokich podziemiach przybiwszy żelaznemi łańcuchami do słupa, zatracić. Co ponieważ działo się w grudniu, w ciężkiéj zimie — więc, gdy się wieść o zniknięciu pustelnika między ludem rozeszła, ów bogacz kazał rozgłosić: że pustelnik będąc u niego już późno wieczorem, mimo nalegań gospodarza, aby przenocował — wybrał się do swojéj pustelni; dokąd idąc, został zapewne od dzikich zwierząt zjedzony.

Na tém skończyło się dziwne opowiadanie pióra. I o saméj legiendzie i o sposobie opowiadania, niech każdy sądzi co chce — ja tylko powtórzyłam.

L. Leśniowska z Myślenic.

Odpowiedź: „Nad kolebką", forma krakowiakowa niestósowna do tonu. — „Do wianeczka", brak formy pieśniowéj — rytm co kilka wierszy inny.

Wydawca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Kraków. — W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1868.